



Marczuk nie jest typowym wojennym bohaterem, który zawsze (...) zachowuje zimną krew w obliczu niebezpieczeństwa, po czym ginie w chwale. To postać bardzo ludzka, o przekonujących i wyrazistych rysach.

wodagorylas.pl

W szkole zostaje ogłoszony konkurs na projekt gimnazjalny polegający na spopularyzowaniu postaci miejscowego bohatera. Coraz częściej poprzez Facebooka i komunikatory wyobraźnią młodych zaczyna władać nazwisko „Marczuk”. Kim jest Marczuk? Pisarzem, science-fiction, pionierem ekologii, doradcą Lady Gagi do spraw koloru paznokci?

Interesują się nim wszyscy - i Adam, i didżej Koni, i dyrektor, a nawet... Kuratorium Oświaty! Cała Polska wręcz huczy od plotek o bohaterze z Choszczówki.

Paweł Beręsewicz

Pisarz uwielbiany za dowcip i intelektualną rozrywkę, jaką proponuje swoim czytelnikom w każdej nowej książce. Obsypany wyróżnieniami i nagrodami, m.in.: Nagrodą im. Kornela Makuszyńskiego, Nagrodą Literacką m.st. Warszawy, nagrodą Książka Roku Polskiej Sekcji IBBY i Książka Przyjazna Dziecku. Dwukrotny laureat Konkursu Literackiego im. Astrid Lindgren.



Rozdział pierwszy

Marczuk nie lubił Żydów. Konkretnie dwóch: Joska Wyszkowera i Aarona Goldberga. Wkurzali go. Josek rzucił kiedyś w Marczuka zgniłą ulęgalką, a Aaron powiedział, że Marczuk jest zbyt brzydki, żeby jakaś dziewczyna chciała się z nim całować. Ale Marczuk też lubił Żydów. Dokładnie trzech: Heńka, Dawida i Berka. Szczególnie tego ostatniego, odkąd wyjaśnili sobie pięściami wszystkie nieporozumienia, a potem z powagą uścisnęli dłonie. Co do pozostałych Żydów – Marczuk nie miał wyrobionego zdania. Chyba więc to nie sympatia, a zwykły ludzki odruch sprawił, że ten niewysoki, jasnowłosy chłopak z Choszczówki został bohaterem.

Dom Marczuków stał w miejscu, w którym teraz znajduje się porośnięta krzakami pusta działka, tuż obok poczty na ulicy Kłosowej. Budynek spłonął pod sam koniec wojny, osmalone ruiny rozebrano, a cegiel użyto do odbudowy którejs z staromiejskich kamienic.

(...)

Następnego dnia po tym, jak Zenon Słowik, miejscowy kombinator o niespokojnych małych oczkach, złożył na Gestapo donos, że w jednym z choszczówkowskich domów ukrywa się żydowska rodzina, Marczuk od rana

czuł, że zdarzy się coś ważnego. Kiedy na wpół dobudzony pedałowal do Tarchomina, do tartaku, w którym znajomy ojca załatwił mu pracę, drogę przebiegł czarny kot. To znaczy nie do końca przebiegł. Zatrzymał się gdzieś w trzech czwartych, popatrzył zielonymi ślepiami na nadjeżdżającego rowerzystę i zawrócił. Trudno było powiedzieć, czy to się liczy, czy nie. Ale już przebita dętka w powrotnej drodze z całą pewnością nie wróżyła niczego dobrego. Marczuk dotoczył rower do domu, wprowadził do sieni, postawił do góry kołami i rozłożył zatłuszczoną szmatę, a na niej cały arsenał narzędzi.

– Zabieraj się z tym rowerem! Ruszyć się tu nie można! – pogoniła go matka, którą drażniły takie rzeczy jak rowerowy łańcuch na kuchennym stole, stara dętka w szafce z pościelą albo słoiczek smaru obok wiśniowych konfitur.

Wzdychając ciężko, Marczuk przeniósł warsztat pod rosnący przed domem krzak bzu i zaczął się mocować ze śrubą. Kiedy na bitej drodze prowadzącej od torów starej nadwiślańskiej kolei pojawiły się dwie ciemnozielone ciężarówki wyładowane niemieckimi żandarmami, trzymał właśnie w ręce odkręcone koło. Na wszelki wypadek cisnął je na trawę i ukrył się w bzach.

Wojskowe budy minęły furtkę Marczuków i zatrzymały się kilkadziesiąt metrów dalej, przed posesją Zenona Słowika. Przerażony szmalcownik wybiegł na ganek i machał w stronę żandarmów w taki sposób, w jaki odpedza się krowy, które weszły w szkodę.

Sio! – zdawał się wołać. – Jedźcie dalej! Co będzie, jak ludzie zobaczą?

Oficer dowodzący akcją nie zamierzał przejmować się takimi drobiazgami.

– Gdzie Żydzi, Słowik? – szczechnął i mały człowieczek skurczył się jeszcze bardziej.

– Tam – powiedział chyba, ale najwięcej treści kryło się w jego gestach. Kazały jechać prosto, a potem skrócić w lewo, w stronę Jabłonny i Legionowa.

Mielnikowscy! – przemknęło Marczukowi przez głowę.

Posesja mecenasa Mielnikowskiego leżała tuż przy lesie. Otaczał ją wysoki płot, porośły gęstym żywopłotem, i tylko czasem przez uchyloną bramę na samym końcu długiego podjazdu zobaczyć można było okazały dom ze schodkami prowadzącymi na ganek. Toczyło się tam jakieś nieznane, tajemnicze życie, o którym choszczówkowskie dzieciaki opowiadały sobie niestworzone historie.

Budy z żandarmami dojeżdżały już do zakrętu, ale musiały stanąć, bo wąską uliczkę tarasował wóz, na który dwóch barczystych chłopaków ładowało worki z jabłkami.

– Precz! – wrzasnął oficer przez okno szoferki, a kierowca jednej z ciężarówek nacisnął klakson.

Chłopcom przy wozie, którzy do tej pory uwijali się jak w ukropie, nagle przestało się spieszyć. Niezwykle starannie odłożyli na ziemię niesione właśnie worki, bezradnie rozłożyli ręce na znak, że nie wiedzą, o co chodzi, podeszli bliżej, żeby lepiej usłyszeć, rozpromienili się i klepnęli w czoło, jakby ich wreszcie olśniło, po czym

podnieśli worki z ziemi i z przepaszającymi minami ułożyli je na wozie.

– Szybciej! – ryknął Niemiec i zaczął niebezpiecznie majstrować przy pasie.

W chłopaków jakby znowu wstąpiła zagubiona gdzieś energia i ruchy ich stały się wyraźnie żwawsze. Jeden skoczył w stronę szopy, w której trzymali konia, a drugi na migi tłumaczył coś oficerowi, kłaniając się co chwile dla większej jasności przekazu.

Marczuk nie czekał dłużej. Dobrze wyćwiczonym susem przesadził drewniany płotek i przemknął chyłkiem na drugą stronę ulicy. Przez uchyloną furtkę wpadł na podwórko sąsiadów z przeciwka, minął drewniany domek, przeciął niewielki ogródek z kilkoma jabłkami i tajnymi chłopackimi ścieżkami pognał przez opłotki w stronę obrońniętej bluszczem willi mecenasa Mielnikowskiego. Zdyszany dopadł do furki i zerkając nerwowo w stronę, z której lada chwila miały nadjechać niemieckie ciężarówki, nacisnął guzik elektrycznego dzwonka. Wieczność upłynęła, zanim na zwirowej ścieżce prowadzącej od ganku usłyszał drobne pospieszne kroki.

– Kto tam? – zapytał cichy dziewczęcy głosik.

– Janek Marczuk! Z Kłosowej! Proszę otworzyć! Szybko! – powiedział chrapliwym szeptem.

Za furtką zapadła cisza, ale po chwili dał się słyszeć szcęk przekręcanej klucza i w uchylonych drzwiczkach pojawiła się wystraszona twarz młodej służącej.

– Jadą do państwa! – zawołał Marczuk.